

SERAFIN ALOJZY KASZUBA OFMCap

ZAPISKI Z KAZACHSTANU

Czarne błoto lgnie do nóg, jak smoła. Ciągnie się pudowym ciężarem. Gdzieś wysoko nad głową druty wydzwaniają nocną melodię, jak duchy. W oddali cień przewodnika rozplywa się w gęstniejącym mroku. Ulica nie ma końca. Ale oto zakręt i nagle smuga światła wpada w ciemność, jak w tunel. Jesteśmy na torze. Potem jeszcze wąska kładka, którą trzeba przejść ostrożnie, żeby nie wpaść do rowu i znowu gardziel błotnistej ulicy, ale wiem, że to już niedaleko. Cień znika za szczelnie zamkniętą furtką, która już teraz stoi otworem. Dom zamaryły czy uspiony jak wszystko wokół. Dopiero kiedy przez ciasną sień wejdiesz do izby, znajdziesz się w kościele. Przy zamkniętych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach gromada kobiet, kilku mężczyzn i młodzieży czeka cierpliwie – czasem całymi godzinami, jak ci słudzy wyglądający Pana. W drugiej izbie ołtarzyk przystrojony skromnie – jeżeli to są Niemcy, to nieodzwonne są krzyczące barwne, sztuczne kwiaty. Jakże tego nie lubię, ale skąd na tej pustyni wziąć coś żywego? Czasem, owszem, są te żywe kwiatki, które zapachem wiosny napęlniają przygodną kaplicę. Wtedy nabożeństwo odprawia się niezwykle uroczyście. Dzieci przystrojone w wianuszki wprowadza się jakby w procesji do kościoła i wszyscy przeżywają na nowo swoją Pierwszą Komunię św. Jakże wdzięczny jestem Piusowi X, że żąda od dzieci minimum. My im więcej dać nie możemy, kiedy noc jest tak krótka, a nazajutrz czeka ich bezbożna szkoła. Starsi żyją przeszłością. Szczęśliwi, jeżeli zachowali – jak relikwie – resztki nabożnej książki i potrafią z niej choćby sylabizować. Przecież większość ich nie przechodziła żadnej szkoły, a elementarzem ich były właśnie te strzępy modlitewników zachowanych przed zniszczeniem. Teraz cieszą się, że mogą tę jedną noc spędzić tak blisko Pana, którego im było tak bardzo brak, a jest dla nich wszystkim. Ale bywa też inaczej.

Któregoś dnia późnym wieczorem przygotowali się w odległym przysiółku na uroczyste przyjęcie. W niecierpliwości nie mogli się doczekać przybycia autobusu. Całą gromadą wyszli naprzeciw, aż zwrócili uwagę milicjanta. W domu była procesja ze świecami i śpiewem, jak na Boże Ciało. Ale kiedy po wysłuchaniu spowiedzi miała się rozpocząć Msza św., dano znać, że „idą komsomolcy”. Staruszkowie rozeszli się z płaczem i niektórzy może i tak pomarli, nie doczekawszy się następnego razu.

Innym razem – w samą wigilię Zielonych Świątek – spora gromada wiernych zebrała się, jak apostołowie w wieczniku, oczekując Ducha z nieba przy zamkniętych drzwiach. Zamiast tego zjawił się komitet bezbożników; spisali zebranych i czekali na księdza, nie pozwalając nikomu wychodzić. Szczęściem, jakiejś dzielnej kobiecie udało się zbiec i uprzedzić zasadzkę.

Nie zawsze jednak wyjście bywa tak pomyślne.

Było to w któryś jesienny Pierwszy Piątek. Ten dzień zaczyna się zwykle o północy, żeby wykorzystać czas. Nabożeństwo u Niemców było ożywione. Rano oczekiwali Polacy i to w miejscowości odległej, do której trzeba było jechać autobusem. Ponieważ po nocnej Mszy św. pozostały Komunikanty, trzeba je było przewieźć na nowe miejsce. W autobusie przed samym odjazdem zjawił się nagle czarny milicjant. Dawał tajemnicze znaki, żeby iść za nim. Nastąpiła indagacja: skąd, do kogo, w jakim celu? Nie znalazłem żadnego nazwiska, drżałem tylko przed profanacją, ale św. Postaci nie można było ukryć przed argusowym okiem. W urzędzie trzeba było wysłuchać ostrych słów i oczywiście zabroniono jechać dalej. Pierwszy Piątek przepadł, ale P. Jezus „przeszedł mimo i uszedł ich rąk”. Nie zamierzam opisywać dalszej drogi

krzyżowej. Niech tylko kilka telewizyjnych obrazków wystarczy jako wprowadzenie do szkicu o katakumbowym życiu naszych braci w Kazachstanie.

Na wstępie nasuwa się metodologiczna uwaga.

Kazachstan – jak wiadomo – olbrzymi kraj Środkowej Azji, geograficznie bogato zróżnicowany, pod względem obszaru druga po Federacji Rosyjskiej republika w Związku Radzieckim, kraj ogromnych możliwości rozwojowych, kryjący w swym wnętrzu niewyczerpane bogactwa kopalinowe, jest przedmiotem coraz bardziej rosnącego zainteresowania. Ałmaatańska Akademia Nauk oraz liczne instytucje naukowe w innych większych licznych miastach republiki przyczyniają się do pogłębienia materialno-duchowej kultury tego jakby nowo odkrytego terenu. Co jednak w tym ogólnym obrazie jest znamienne, to negatywne i wręcz wrogie nastawienie do zagadnień wyznaniowych. Jest to uderzające zwłaszcza na tle przemian, jakie zaszły ostatnio w Zw[iązku] Radzieckim.

Dnia 30 sierpnia 1965 r. Włodzimierz Kurojedow, prezes ogólnozwiązkowej Rady Religijnej, opublikował w moskiewskich „Izwiestiach” artykuł rzucający światło na te sprawy. Trzymając się zasadniczo leninowskiej koncepcji rozdziału Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od Kościoła, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że „nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego”. Jak elastycznym okazało się to oświadczenie w odniesieniu do miejscowych władz kazachstańskich, pokazała niebawem praktyka. Kiedy w jednym z najliczniejszych ośrodków polsko-katolickich w Tainczy zażądano zarejestrowania kaplicy, odpowiedziano brutalną odmową. Delegacja udała się z interwencją do Rady Religijnej w Moskwie. Wówczas tenże sam Wł. Kurojedow oświadczył: „my o was nic nie wiemy”. Do sprawy tej wypadnie jeszcze powrócić przy omawianiu szczegółów. Tu chodzi tylko o podkreślenie właśnie tego ignorowania najżywościjszych interesów religijnych, odnośnie zwłaszcza do ludności katolickiej. Oczywiście, w takich warunkach nie może być mowy o żadnych naukowo udokumentowanych uogólnieniach czy statystycznych danych. Urzędowo procent Polaków kazachstańskich podaje się na 0,06. Jeżeli wziąć pod uwagę, że element polski w znacznej mierze uległ ukrajinizowaniu, takie dane okażą się mocno niedokładnymi. Cóż dopiero mówić o statystyce wyznaniowej, kiedy urzędowe dane odnoszące się do liczby wiernych zupełnie nie istnieją? Wobec tego wszelkie wypowiedzi muszą nosić z konieczności charakter fragmentaryczny osobistych doświadczeń czy wspomnień.

Skąd wzięli się Polacy w Kazachstanie?

Jakkolwiek wszyscy prawie pochodzą z różnych stron Ukrainy, to jednak każda niemal rodzina ma swoją własną historię, której na imię: wygnanie. W żyznych włościach na Podolu i Wołyniu żyło się nieźle – nawet zamożnie. Najważniejsze, że były ośrodki polskości i wiary – szkoły i kościoły. Nowa historia wszystko zmioła. Przyszła kolektywizacja i wywłaszczenie. Wystarczył cień sprzeciwu, żeby ojca zabrali, a ją z nieletnim drobiazgiem wysłano na krańce świata. Jeśli drzewo wyrwie się z korzeniami, można je przesadzić choćby o tysiące kilometrów, ale kiedy strzaska je piorun, a wiatr rozrzuci w cztery strony świata? Przy kopającym płomyku kaolinowego kaganka ciągną się te nie kończące się nigdy dramaty: słowa są spokojne, prawie obojętne, jak krople deszczu, które dzwonią w połatane szyby. Wieczorem zjawili się w wiosce obcy ludzie – może przemytnicy. Kto ich wie? Nikt nie chciał przyjąć na noc, ale mąż się zlitował. Za nimi przyszli szpicle. Męża zabrali. Rozstrzelali, w sam dzień Podwyższenia Krzyża. Padła zemdlona, ale potem dała na Mszę św. Ksiądz powiedział: „nie płacz, on umarł jak święty”. Ojciec nie chciał iść do kołchozu. Był dawnym lokajem, zabrali

ostatnią garść zboża. Ojciec umarł w nędzy. Ona z dziećmi znalazła się w eszelonie do Kazachstanu.

Ktoś przedarł się przez granicę. Wstąpił do seminarium i został księdzem, ale taki zaszczyt trzeba odpokutować. Rodzinę wywieziono – do Kazachstanu. Wywożono też całe wioski graniczne. Dziś tam puste wrzosowiska lub lasy, a ludzie w Kazachstanie. Niektórych wywożono hen, aż do Semipałatyńska i Ałma-Aty, aż w pobliże chińskiej granicy do górzystego Tałdy-Kurganu, inni zaludniali centrum przemysłowe w Karagandzie i Dżezgazganie, ale centrum Polonii utworzyło się na północno-zachodnich bezbrzeżnych stepowych obszarach około Pietropawłowska, Tainczy i Akmolińska.

A jakie było to nowe życie?

Była późna mroźna jesień, kiedy znaleźli się w barakach pod gołym niebem na stepie. Potem zaczęto grupami rozwozić „na wioski”. Myśleli, że wreszcie odetchną pod jakimś dachem, ale pokazali im pusty plac wyznaczony na stepie kołkami: „oto wasza osada”. Zaczęła się mozolna praca od podstaw. Trzeba było z gliniastej ziemi formować kostki i z tych „samanów” budować chaty, niskie, zaduszone, na kształt kazachskich, kryte płasko również ziemią. Opalało się je suszonym owczym łajnem. Te „kiziaki” wywołują swoisty gryzący odór. Kto zjadł przywiezione zapasy, przymierał głodem i jadł stepową trawę. Nawet jeśli było co do sprzedania, nie można było dostać się do miasteczka na targ, bo wioski były „pod komendanturą”, tzn. że bez specjalnego pozwolenia nie wolno było oddalać się poza obręb osady. Byli wciąż znowu w jakimś sensie *glebae adscripti*, tylko że teraz ziemia była gromadzka. Gdyby cudem udało się jakiejś zrozpaczonej rodzinie wyjść nocą z wioski i uciec, powierzywszy się Opatrzności, wtedy jednak groziła śmierć na stepie z głodu lub też z ręki Kazachów-tubylców, którym obiecywano zapłatę od głowy. Trzeba było iść nocami, a w dzień ukrywać się w rozpadlinach przed skwarem i zbójcami i przebyć tak tysiące kilometrów. O tych czasach głodu i nędzy krążą legendy. Ktoś szukając korzonków natrafił na jamkę chomika ze zbożem – widoczny cud, bo skrytek znalazło się więcej i można było oszukać głód – ale inni marli. Wyginęły prawie wszystkie dzieci, jak kwiatki zwarzone mrozem. Bo wkrótce przyszła zima. Straszna, mroźna, jakiej przedtem nie widzieli. Kto jej nie przeżył, nie wie, jak wyglądają kazachskie „buriany”. W jednej chwili świat staje się szaro-biały, szalony wichur jak trąba chwyta wszystko w swe wiry i rzuca człowieka o ziemię jak wiór. Opowiadają o dziewczętach, które wichura zasypała na śmierć, kiedy szły po wodę do studni. Czasem rano trzeba było robić formalne przekopy, żeby się wydostać z chaty pokrytej gładko z dachem śnieżnym całunem. Takim to wioskom nadano wcale romantyczne nazwy: Wiszniówka, Kalinówka, Jasna i Krasna Polana, a nawet Zielony Graj. Stało się to jednak chyba później, kiedy zorano wielkie zagony i nawet tu, na dalekich azjatyckich stepach zaczęła się spełniać profetyczna zapowiedź Piasta Dantyszka: „złamani zawsze staniemy na nogi”.

Zanim jednakże ten nowy obraz zajmie naszą uwagę, trzeba zająć się drugim, obok Polaków, składnikiem elementu katolickiego w Kazachstanie, jaki tworzą Niemcy.

Historia ich jest równie interesująca i – tragiczna.

Przodkowie ich przybyli z różnych stron Niemiec – z Nadrenii, Westfalii, Bawarii na wezwanie Katarzyny II, która oddała im żyzne obszary nad Wołgą w celach kolonizacji. Kraina była istotnie urodzajna, toteż wkrótce powstały kwitnące osady i liczne parafie z ośrodkiem w Saratowie i innych nadwołżańskich miastach. Ale właśnie ten dostatek sprowadził nieszczęście. Zaczęły się najazdy Kirgizów – tak nazywano wówczas plemiona koczownicze szukające łatwego łupu daleko na zachodzie. Jak w Polsce średniowiecznej Tatarzy, tak i ci nowsi już najeźdźcy plądrowali osady, grabili kościoły, mordowali starych, młodzież zabierali w jasyr. Przy końcu zeszłego wieku Niemcy nadwołżańscy z okazji stulecia przybycia ich przodków

wspominali te okrutne czasy. W ich tradycji żyje pamięć franciszkanina, o. Jana, który w niewoli pasł kirgiskie barany, a przy tym odznaczał się duchem apostołowskiej miłości. Nie wiedzieli pewnie wówczas, że te czasy powrócą do nich może jeszcze w formie bardziej tragicznej. W latach rewolucji prawie w ogóle przestała istnieć cała diecezja saratowska z katedrą, seminarium i biskupem. Potem likwidowano wszystkie parafie. I powtórzyło się to, co na Ukrainie: wywłaszczenie, tułaczka, nędza. Rozsypani się jak liście gnane wiatrem po Syberii, Kazachstanie, Kirgizji, aż gdzieś po kraj Uzbeków i Tadżykistan. Zaludnili obozy przymusowej pracy, fabryki, kopalnie, często nie wiedząc jedni o drugich. W czasie wojny stan liczebny Niemców-wygnañców jeszcze się zwiększył. Przybyli pozostali z Nadwołża, a prócz tego z Krymu, okolic Odessy, a nawet dziwnym losem miotani ci, którzy zobaczyli swoją dawną ojczyznę, lecz nie mieli prawa tam pozostać. Można zaryzykować twierdzenie, że dziś w Kazachstanie nie ma prawie większego ośrodka, gdzie by ich nie było. Ponieważ zaś nigdzie nie spotyka się rozgraniczenia terytorialnego protestantów od katolików, znaczy to, że kapłan katolicki wszędzie może znaleźć większą czy mniejszą grupę swoich wiernych – Polaków czy Niemców.

Przechodząc z kolei do omówienia sytuacji katolików w Środkowej Azji, trzeba podkreślić przede wszystkim tę silną więź łączącą wiernych bez różnicy narodowości, która sprawia, że tworzą oni zwarte społeczności religijne, broniące wspólnie swoich praw. Bezwzględnie, zebrania modlitewne odbywają się czasem oddzielnie, co jest uwarunkowane językiem, ale kapłan i wspólna liturgia łączy wszystko w jedność.

Ogólnie biorąc, ludność niemiecka miała z początkiem przymusowej emigracji lepsze warunki duszpasterskie. Jeszcze dziś słucha się ze wzruszeniem ich modlitw „na dobranoc”, które odmawiają zawsze z rozkrzyżowanymi ramionami, bo tak ich nauczył ostatni proboszcz. Zresztą ten ostatni duszpasterz nie opuścił ich do końca. Był to czcigodny Pater Staub, który zmarł kilka lat temu w Karagandzie. Obecnie żyje i częściowo działa ks. M. Keller koło Frunze.

Polacy byli jak owce bez pasterza. Ich kościoły parafialne zostały już przedtem zniszczone, księża uwięzieni lub wygnani w różne strony. Czasem tylko udało się grupie zabrać krzyż z wielkiego ołtarza na pamiątkę. Chowają go jak drogą relikwię. Jeśli się zważy, że zasadniczo przesiedlony został najgorliwszy pod względem religijnym element, można zrozumieć ich dogłębny ból po stracie tego, co najdroższe. Ale też to tłumaczy, że tyle lat przetrwali. Z grubsza biorąc kilkanaście lat, bo aż do końca wojny nie mieli żadnego kontaktu z kapłanem. Sami chrzcili, uczyli dzieci, sami też dysponowali na śmierć i umierali. Wszędzie znalazła się jakaś oddana Bogu dusza, która spełniała te funkcje na pół kapłańskie. Zasadniczą rolę odgrywali tu tercjarze, organiści, słudzy kościelni. Kiedy już zelżały okowy i można było zrealizować ten zamiar, nie szczędzili trudu, żeby być bliżej kościoła. Na miejscach, gdzie były ich dawne wioski, niekiedy zarosłych lasem, budowali nędzne chatki, czyścili splądrowane cmentarze i odnawiali kościoły. Większość jednak musiała pozostać. Młode pokolenie coraz bardziej wrastało w ziemię, polepszały się warunki bytu, nędzne lepianki zastępowały dostatniejsze domy. W latach wojennych i po wojnie przybyły nowe kadry wygnañców z Ukrainy, a nawet z Polski walczącej. Był to jakby niespodziewany zastrzyk polskości, a czasem i wiary. Ci ludzie, często o wyższej kulturze, wyrzuceni brutalnie za nawias życia, znaleźli u swoich współbraci serdeczne przyjęcie. W zamian za materialne wsparcie w nędzy, mówili im o Polsce, która podnosi się z oparów krwi i pożogi wojennej do nowego życia. Kiedy po sześciu i więcej latach dla tych, którzy nie pozostali na kazachskich mogiłach, otwarła się powrotna droga, niejeden rad by był podążyć z nimi do tej wymarzonej ojczyzny. Niestety, byli Polakami tylko duchem, a ojczyzną ich była „szeroka ruska kraina”. Wielu więc powróciło przynajmniej w rodzinne strony, na Ukrainę. Zresztą wkrótce ograniczono możliwość emigracji. Właściwie

jednego im tylko nie dostawało. Z utęsknieniem otrzymywali wiadomości, że ich rodzinne kościoły, jeśli nie legły w gruzach, na nowo się ożywiają, a nawet tam, gdzie nie ma kościołów, działają jacyś księża (w Połonnem, Żytomierzu, Gródku) w prowizorycznych kaplicach. Ci księża przysyłają im opłatki na Boże Narodzenie, a święcone na Wielkanoc. Nawiązuje się serdeczny kontakt Budzi się tęsknota: gdyby tak i u nas...

I oto gdzieś około 1948 r. zjawia się pierwszy kapłan (ks. Włodzimierz Prokopiew – kapłan obrządku greckokatolickiego). Jest chudy, smagły, wiele się modli i umartwia, ale odprawia we wschodnim obrządku. To ich peszy i onieśmiela, boją się podstępny. Zresztą odprawia więcej u Niemców, choć przygarnęła go polska rodzina. Miejscowe władze są też widocznie zdezorientowane. Nie mają jeszcze dyrektyw. W Tainczy istnieje już cerkiewka prawosławna. Radzą nawiązać kontakt z batuszką. Czemuż by nie pozwolić też katolikom? Ale ksiądz zaczyna jeździć po wioskach. W jednej wyznacza się nawet plac pod budowę kaplicy. To się zaczyna coraz mniej podobać. W niemieckiej Liniejówce dochodzi prawie do aresztowania, ale kończy się na dość wysokim „sztrafie” i ksiądz wyjeżdża. Znika równie tajemniczo, jak przybył, aby pojawić się po kilku latach, ale gdzie indziej i w innych warunkach.

Bo nad Kazachstanem jakby nagle otwarło się niebo. Gdzieś od Pietropawłowska poprzez bezbrzeżne stopy Tainczy, Kokczetawu, Akmolińska aż do Karagandy i dalej hen aż do Taszkientu i Frunze w Kirgizji powiał jakiś ożywiający wichur jakby „szum wiatru gwałtownego” Zielonych Świątek. Pojawili się księża, powstały kaplice, lud runął ławicą do źródeł sakramentalnych, jak długo dręczona pragnieniem trzoda. Tego nie można inaczej wyrazić. Każdy z tych kapłanów przybyłych z Sybiru po długoletnich rekolekcjach doświadczył dosłownie słów psalmisty o pożeraniu przez gorliwość i Jezusowych o „gwałtownikach porwijących niebo”.

Prawie równocześnie jesienią 1956 r. zjawili się w Tainczy, Akmolińsku i Karagandzie ci ludzie zaprawieni w twardej szkole i zabrali się do pracy na długo nie oranym zagonie. Był to najdosłowniej „celinny kraj”.

W Tainczy – dawna przejezdna mało znaczna stacja – dziś ośrodek rejonu Krasnoarmiejsk – przy ul. Zachodniej zakupiono dość obszerny dom pod kaplicę. Potem pokazało się, że transakcja była zrobiona równie nieostrożnie, jak chytrze – po prostu właściciel wziął pieniądze, ale dokumentu nie wystawił. Na razie nikt o to nie dbał. Kaplicę urządzono jak tylko możliwe w takich warunkach. Stanął skromny ołtarz z drewnianym tabernakulum miejscowej roboty. Pierwsze nabożeństwa odprawiały się w naprędce szytych prymitywnie szatach przy użyciu również prostych najniezbędniejszych przyborów i naczyń liturgicznych, ale potem zakryta się dopełniła. Z Ukrainy, a więcej jeszcze z Wilna zaczęły na-pływać obrazy, szaty, naczynia, znalazła się nawet monstrancja. Pomieszczenie rozszerzono, trochę przebudowano. Co gorliwsi zaczęli się rozglądać za placem pod budowę kościoła, bo tymczasem ta prowizoryczna kaplica zaczęła przyciągać tłumy. Ksiądz, wysoki, atletycznej budowy, dawny działacz społeczny, opiekun młodzieży, a przy tym pełen optymizmu i humoru, od razu podbił serca swoich owieczek. Pracował dosłownie bez wytchnienia, aż do upadku sił, w ciasnocie, zlany potem, otoczony napierającym zewsząd tłumem jak Mistrz w Kafarnaum. W niedzielę cała ulica była obstawiona podwodami i maszynami przybyłych z dalekich kolchozów. Kto tylko dowiedział się i mógł przyjechać, przywoził dzieci i starszych do chrztu, pary do ślubu. Śluby brali rodzice razem z dziećmi, ba, czasem dziadkowie. Mało kto rozumiał i zadowalał się tym, że bez księdza ślub jest ważny. Bywało też i masowe bierzmowanie. Żeby zrozumieć ogrom pracy duszpasterskiej, trzeba choć po-bieżnie poznać warunki terytorialne.

Taincza – dawna wojskowa stacja – leży przy linii kolejowej biegnącej w kierunku południowym z Pietropawłowska poprzez Kokczetaw i Akmolińsk do Karagandy. Stacja dzieli

osadę na część zachodnią, obejmującą Suchocin, i wschodnią z posiołkiem roboczym. Po jednej i drugiej stronie toru, na dawniej bezludnym stepie, na którym z rzadka chyba tylko jakieś auły kazachskie wypasały swoje bydła, rozsiane zostały w odstępach kilku – czy dziesięciokilometrowych, jak rodziny w czarnym cieście, osady polskie. Porównanie to można zaryzykować, ponieważ do niedawna jeszcze z jednej do drugiej wioski trudno się było dostać, chyba sposobem miejscowym – na koniu. Tych wiosek po stronie zachodniej łącznie z drugim centrum rejonowym (Czapajewo) znajduje się w promieniu mniej więcej stukilometrowym czternaście. Są to osady całkowicie albo też w większości polskie, co wyraża się nawet w nazwach: Kalinówka, Wiśniówka, Jasna Polana, Gaj Zielony, choć to nie gra roli. Ważniejsze, że rozbudził się tam duch polski i katolicki, kiedy po raz pierwszy pojawił się ksiądz z kołędą czy też po prostu, żeby odprawić nabożeństwo dla chorych i nie mogących dostać się do kaplicy. Po drugiej stronie, wschodniej, grupują się niemieckie wioski około centrum Kellerówki – Liszajówka, Razówka, ale też i cały szereg pierwotnie zupełnie polskich: Letowoczna, Krasna Polana, Juźne. Obecnie ludność jest tam etnicznie pomieszana – przybyli Ukraińcy, Rosjanie, ale nawet obecnie stanowią oni znikomą mniejszość. Nie można jednakże myśleć, że w tych granicach zamykała się nowa „parafia”. Wpływ kapłana zataczał kręgi coraz szersze, obejmujące grupy Polaków i Niemców- katolików rozsianych na ogromnych przestrzeniach na północ poprzez Kijały aż do Pietropawłowska, na południu zaś do zetknięcia się z drugim ośrodkiem katolicyzmu, jaki powstał około Akmolińska.

Akmolińsk – dzisiejszy ok. trzystutysięczny Celinograd – był jeszcze w pięćdziesiątych latach zbiorowiskiem chat kazachskich o płasko ściętych dachach i sterczących kominach, które robią wrażenie, że przeszła nad nimi jakaś niszcząca burza. Dziś w centrum miasta piętrzą się nowoczesne bloki, ale nie trzeba iść wcale daleko, żeby znaleźć się w błotnistych zaułkach, gdzie pod chatami wygrzewają się białe zakwefione babki i bawią na pół nagie dzieci. Ta osada, pamiętająca pewno dawnych pieśniarzy, nosiła poetycką nazwę: „biały mułła”. Może to by świadczyło o jakiejś religijnej tradycji. Dziś w mało jeszcze zeuropeizowanej dzielnicy, choć niedaleko głównego bazaru, kryje się za wysokim płotem zielony meczet z niepozornym minaretem wyglądającym raczej na budkę strażniczą. W dniach świątecznych można zobaczyć szereg mężczyzn w aksamitnych małachajach i kobiet w białych spadających do ziemi kwefach, dążących do świątyni. Czasem uda się nawet spotkać sędziwego mułłę, którego dwaj dostojnicy prowadzą pod rękę. Na przeciwległym końcu prawie tej samej długiej ulicy znajduje się kopulasta cerkiew. Ktoś ciekawy mógłby odnaleźć też przy dobrej doli skromną kościółkę luterańską. Mimo woli oglądamy się za kościołem katolickim. Owszem, był i to nie tak dawno. Kiedy miasto zaczęło się gwałtownie rozbudowywać jako centrum „celinnego kraju”, najechało wielu Niemców z okolicznych sowchozów albo i z dalszych stron szukać zajęcia w ośrodkach przemysłowych, na budowie czy też w innych przedsiębiorstwach. Znalazło się wśród nich wiele rodzin katolickich. Przybyli też z wiosek Polacy. Trzeba było tylko gorliwego kapłana, który by zainicjował pracę. I oto taki się zjawiał – właśnie ten z Tainczy. Wkrótce zakupiono dom, urządzono kaplicę i rozpoczęły się regularne nabożeństwa. Z początku znowu miała głos liturgia grecka, ale stopniowo łacina zwyciężyła, co się też przyczyniło – przy osobistej gorliwości duszpasterza – do rozszerzania wpływów i triumfu wiary. Życie religijne rozkwitło. Garnęła się młodzież i dzieci. Zdarzały się nawrócenia nawet obojętnych i wrogich. Wpływy rozciągały się na odległe rejony Kurgaldżyńsk, Szortandy.

Jednakże dojazd do Akmolińska nie był łatwy. Wiosną, kiedy puściły śniegi, droga z posiołków była nie do przebycia. Grajder – twarda szosa, która łączy Celinograd z odległą 140 km Astrachanką, omija cały szereg polskich wiosek, które pozostawione na uboczu pragną mieć swoją kaplicę. Pragnienia te spełniają się, kiedy z Sybiru przybywa jeszcze jeden kapłan:

światły uczoney, dawny profesor seminarium duchownego (Ks. dr Bronisław Drzepecki – kapłan diecezji łuckiej), a przy tym pełen apostołskiego zapału, choć o zrujnowanym zdrowiu. Usilne staranie ludzi dobrej woli, którzy nie szczędząc ofiar oddają dom dla służby Bożej, sprawiają, że powstaje nowy ośrodek kultu w Zielonym Gaju ' Zwykle oznacza się ten posesiłek lakoniczną numeracją 32, ale nazwa jest więcej symboliczna. „Gaj” zaczyna rozwijać się i kwitnąć, choć otaczają go jak przedtem bagna. Nawet pieszo mogą przybyć ludzie z pobliskich wiosek, dalszych posesiłek 10, 11, 12. Nawet 13 i 14, choć już dalsze, utrzymują stały kontakt z „parafią”. Ośrodek rejonowy Astrachanka liczy kilkadziesiąt rodzin polskich i chyba więcej niemieckich. Dalej już nieco w bok od Dżałtywu znajduje się spora osada niemiecka o kazachskiej nazwie Żytkur-Dżałtyr – duża stacja kolejowa z również kilkudziesięciu rodzinami, wśród których znajdują się też Polacy, posiada poprzez Karmadyr lepszy dojazd do Akmolińska i Karagandy.

Obrzeżona mnóstwem stożkowatych czarnych szybów, najeżona lasem kominów fabrycznych Karaganda od niedawnych czasów rośnie w potężną metropolię, największą w zachodnim Kazachstanie, a po stolicy Ałma-Acie w ogóle w całym tym olbrzymim kraju. Gwałtowny rozwój tego ośrodka przemysłowego jest wysoce symptomatyczny dla celinnego kraju. Jeszcze w latach trzydziestych, kiedy pędzono etapami wygnańców z Ukrainy, trasa ich szła wprost z Akmolińska do Karkaralińska, gdzie był prastary ośrodek administracyjny z czasów koczownictwa. Później przeniesiono go do Semipałatyńska, a o Karagandzie w klechdach pieśniarzy z Akajem na czele nie ma jeszcze mowy. Dziś Karkaralińsk jest uroczym miasteczkiem, do którego z Karagandy trzeba jechać ponad 200 kilometrową różnorodnie formowaną szosą. W ostatnim odcinku przed wjazdem do miasta położonego w kotlinie roztaczają się piękne widoki na poszarpane, czasem płasko ścięte góry, miejscami porośnięte czarną grzywą lasów. P. Bogdan nazywał je kazachską Szwajcarią. Był to zacny, o patriarchalnym wyglądzie starzec, który przybył tu z górą pół wieku temu jako agronom, a potem po przeżyciu lat wygnania powrócił tu, aby dożyć sędziwego wieku wśród umiłowanej ludności miejscowej. Bo to był właśnie charakterystyczny rys jego pięknej osobowości – uniwersalny humanitaryzm, który sprawiał, że drzwi jego domu, pochyłego wiekiem jak i on sam, dla każdego stały otworem. Przy tym żył i zmarł religijnie. Uczył nawet katechizmu wychowankę – Ukrainkę, a w jego domu, przypominającym chyba graciarnię średniowiecznego alchemisty, gromadziła się garstka wiernych, kiedy z rzadka przyjeżdżał ksiądz. Ten fragment warto było włączyć, żeby zaznaczyć, że nawet w najdalszych zakątkach nigdzie nie brak wiernych.

Cóż dopiero mówić o Karagandzie! Zaraz z początku wśród kadr przybyłych dla pracy w kopalniach i przemyśle znalazły się setki rodzin katolickich. Niemcy-katolicy zaludnili szczególnie przedmieście Majkuduk. Tam też odprawiały się pierwsze nabożeństwa i założono kat[olicki] cmentarz. Potem – przy wzroście liczby wiernych do tysięcy – założono w mieście kaplicę. W wielu domach, nie tylko w samej Karagandzie, ale i w całym kraju, można oglądać fotografie wnętrza kaplicy, czasem z grupą kapłanów z sędziwym ks. Staubem na czele. Bo księży było zawsze kilku. Jedni z nich pracowali w fabrykach lub przedsiębiorstwach, inni dożywali wieku przy pracy kapłańskiej – zawsze można było zastać kogoś chętnego do usług. Do Karagandy przyjeżdżano tedy i z dalekiego Omska i Nowosybirsk, mieli tu przystań wierni z Aktiubińska i Kustanaju, a z południa przyjeżdżali aż z ciepłych krain – Dżambula i Taszkientu.

Potem jednak powstała kaplica w okolicach Frunze z o. Antonim, a prócz tego znaleźli się OO. Bazylianie, wygnańcy w węzłowej stacji Czu i ostatni po śmierci ks. Stauby proboszcz niemiecki z Nadwołża, ks. Keller. Rozciągnęli oni opiekę nad ogromnymi masami wiernych,

rozmieszczonych po kołchozach, sowchozach i różnych przedsiębiorstwach stołecznej Ałma-Aty i okolic. Do całości obrazu, który jednak nosi charakter mocno fragmentaryczny, trzeba jeszcze dołączyć tajemniczą sylwetkę dominikanina, który w tym czasie osiadał w Pietropawłowsku.

Leżąc na skrzyżowaniu dróg wiodących z jednej strony przez Kurgan i Czelabińsk na Ural z Ufą i Swierdłowskiem, z drugiej na sybirski już Omsk i Nowosybirsk, a wreszcie w kierunku południowym na Karagandę i Taszkient, był P[ietropawłows]k ważnym punktem komunikacyjnym jeszcze dla wielbłądzich karawan w dawnych czasach. Administracja carska wykorzystywała to spore miasto dla handlu i kolonizacji. Z tego czasu pochodzi dość duży baniasty sobór, widniejący z dala na tle nowych zabudowań, jak nieopatrznie pozostawione wspomnienie.

Może i licznie przybyli Polacy mieli też swoją świątynię. Teraz nie można było o tym marzyć, mimo że rodzin katolickich zamieszkuje sporo w samym mieście, a więcej jeszcze w okolicznych wioskach. Ksiądz spotkał się zaraz na początku ze sprzeciwem i szykanami, mimo że ukrywał się pod zmyślnym nazwiskiem. Nazywał się Pieresypkin, ale nikogo to nie myliło. Każdy wiedział, że przy dobrej woli, zadawszy sobie nieco trudu, znajdzie zawsze chętnego do usług dobrodusznego mimo trochę ostrej postawy – ojca Piotra. Było to niezmiernie ważne, szczególnie wobec zmienionych warunków, które miały wkrótce nastąpić – nowej fali prześladowań.

Koczownicze plemiona kazachskie miały na oznaczenie wszelkich klęsk żywiołowych jeden ostry jak świst „sorła” wyraz: dżut. Kiedy było ginęło z braku paszy, którą wypaliło słońce, a ludzie nie mieli mleka ni sera i dobijali z głodu ostatnie konie, kiedy przedwczesna zima skuła białym płaszczem ziemię, zanim zdołano dotrzeć do nędznych zimowisk, lub też z brudnych oparów podnosiła się niszcząca moc zarazy, wszystko to działała zła siła, która na jakiś czas uśpiona mogła się niespodziewanie jeszcze groźniej rozbudzić.

Można by powiedzieć, że jakiś demoniczny dżut rozpętał się po krótkim okresie ulgi nad ludem Bożym w Kazachstanie. W ciągu kilku miesięcy zniszczono wszystko, co zostało stworzone w tak radosnym trudzie niespełna dwóch lat księży wywieziono, kaplice pozamykano i wierni pozostali znowu sami, jak dzieci bez ojca. W Tainczy zabrali księdza w sam dzień Niepokalanego Poczęcia. Oczywiście, nie obeszło się bez manifestacji, ale wszystko na próżno. Obiecali, że wróci. W Ałma- Acie powiedzieli jednak, że dość już szkody: piętnaście lat nie wystarczy, żeby zlikwidować owoce jego pracy. Była to największa pociecha w siedmioletnim okresie odosobnienia w obozie, na który został skazany, z tą tylko chyba poprawką, że trwanie owoców pracy apostołskiej nie liczy się na lata. Ludziom został tylko żal i osierocenie.

Na posesioku 32-gim w czasie pasterki, kiedy rozpoczęło się nabożeństwo, padł strzał w kierunku ołtarza. Jakaś kobieta zasłoniła księdza i została zabita. Takich obrońców znalazłoby się więcej, ale byli też Judasze. Zawsze się nimi posługiwano, kiedy chodziło o usunięcie młodzieży spod wpływu kapłana. Ofiara, choć krwawa niewinnej kobiety, oddaliła na krótki czas okrutny cios. Księdza zabrali i zasądziła jako wroga. Coś podobnego, choć w innej zapewne wersji, miało miejsce w Karagandzie jeszcze wcześniej. Inne były metody i środki, ale cel i efekt ten sam: budować celinny kraj bez nadprzyrodzonej zaprawy. Może nie przypadkiem było, że właśnie w tym czasie Akmolińsk przemianowano z woli Chruszczowa na Celinograd. Podobno ktoś z śmielszych w czasie wizyty Męża Stanu w budującym się mieście docisnął się do jego pojazdu i podał petycję. Wszystko na próżno. Kaplicę zamknięto, księdzu udało się ująć zawczasu, nie czekając na los tamtych konfratrów, a staruszka zakrystianka spaliła ze strachu papiery. Podobnie działo się w Szortandy, gdzie był prawnie

zarejestrowany dom modlitwy pod opieką pięciu siostr tercjarek. Wszystkich opanowała panika, bo pamiętali terror pierwszych lat po rewolucji.

Najdłużej utrzymywała się kaplica w rejonie Frunze, gdzie pracował dzielny litewski kapłan, o. Antoni. Proces o „spekulację” wytoczono aż w Wilnie i do dziś dnia „dorabia się nieba piłą i toporem w uralskich lasach”. Są to jego własne słowa pisane do ludzi, którzy go nie zapominają.

O. Piotr zginął tragicznie, choć nie w katastrofie samochodowej. Tragedia może zdarzyć się też na stole operacyjnym. Podobno przestrzegali go, że operacja serca jest ciężka, ale wołał ryzyko niż życie pod ciągłą presją. W samym dniu śmierci w Moskwie z Pietropawłowska przyszło wezwanie, ale z tamtego świata już go nie odwołali. Na cmentarzu Wilkowskim znajduje się mały, jakby dziecięcy grób. Nawet po śmierci zajmuje minimum miejsca.

Tak się przedstawia w błyskawicznym skrócie apostolski wysiłek Kościoła i jego brutalne gnębienie na wielkim obszarze Kazachstanu w latach powojennych. Późniejsze próby nieustannie ponawiane przez wiernych nie dają pozytywnych rezultatów. Wprawdzie władze centralne w Moskwie odnoszą się z czasem przychylnie, ale na miejscu katolicy nie posiadają żadnych praw.

Efemerycznym zjawiskiem, wyjątkowym, była kaplica niemiecka w Ałma-Acie i Kustanaju. Okolice pięknej stolicy są gęsto obsiane osadami z ludnością niemiecką, w wielkim procencie katolicką. Są też całe wioski polskie. W samym mieście, zwłaszcza na peryferiach i przedmieściu Tastak, rozwija się od dawna życie religijne. Ksiądz – „dwornik” – bazylianin objeżdża z autentycznym chórem i organistą (przenośne organki) sowchozy i osiedla. W pewną niedzielę zastano go „na robocie”. Rzeczy skonfiskowano i wytoczono sprawę o nielegalność. „Pracujemy nielegalnie, bo nie dajecie nam praw” – powiedział śmiało miody ksiądz. Efekt był nieoczekiwany. Kazali nabyć dom i odprawiać jawnie. W ciasnym zaułku przy ul. Złotoustej – jakże dobrana nazwa – zaimprovizowano kaplicę. W niewielkim domu z ganeczkiem otoczonym równie niedużym podwórkiem musiały się gromadzić tłumy miejscowych i przyjezdnych. Szkoda, że trwało to niedługo. Obecnie znowu wszystko zablokowano, nie wiadomo dlaczego i na jak długo.

W Kustanaju energiczna Niemka z pomocą innych wywalczyła kaplicę. Pomieszczenie jest skromne, niskie, przypominające raczej barak, ale ludzie byli zadowoleni, zwłaszcza kiedy przyjeżdżał kapłan. Był to energiczny szofer z Kaunasu [Kowno], który wolny czas poświęcał na pracę misyjną. Obleciał samolotem wiele miejscowości na Sybirze i w Kazachstanie. W Kustanaju zatrzymywał się częściej. Raz nawet otrzymał pozwolenie na 10-dniowy pobyt – wreszcie osiadł na stałe. Była to wielka radość dla całej okolicy. Niestety, trwała krótko. Dziś znowu są sami.

Te nieliczne i krótkotrwałe wyjątki nie zmieniają faktu, że kapłan katolicki w Kazachstanie, jeśli chce mieć kontakt z wiernymi, musi się ograniczyć do pracy tajnej. Nabożeństwa odprawiają się przeważnie w nocy, w lokalach dobrze zakonspirowanych, do których mają dostęp tylko wtajemniczeni. Jest śledzony i ścigany jako przestępca, a jeśli Pan Bóg pozwoli i zażąda, staje się prawdziwym świadkiem – „martyr”. Takim był o. Aleksander. Nazywają go tak powszechnie, ale właściwe imię jego Aleksy więcej odpowiada jego wędrownej apostolskiej pracy. Należał do wielkiej grupy kapłanów-unitów, którzy swoje przywiązanie do Kościoła musieli opłacić wygnaniem razem z metropolitą lwowskim Slipyjem. Były wśród nich kadry młodych kapłanów niedawno wyświęconych, którzy praktykę duszpasterską rozpoczęli w ciężkich latach wojennych. Pracowali w lasach, kopalniach i fabrykach na Uralu i Sybirze, a kiedy skończył się okres zesłania i kary, woleli służyć pociechą

swoim opuszczonym braciom, niż wracać w rodzinne strony, gdzie również – wobec zlikwidowania unii – nie mogliby się otwarcie zajmować pracą kapłańską.

Ich duchowy zwierzchnik został w Rzymie purpuratem, ale nie ma to wpływu na polepszenie doli tych setek jego podwładnych, którzy pozbawieni pracy parafialnej muszą zarabiać w jakikolwiek dostępny sposób na utrzymanie, a przy tym – ręka w rękę z rzymskokatolickim duchowieństwem obsługują tajnie wiernych trwających w kat[olickiej] wierze.

Wielu z nich powróciło w rodzinne strony, byli jednak i tacy, którzy poznawszy niedolę braci w diasporze, postanowili poświęcić się pracy misyjnej. O. Żarecki, porzuciwszy pracę na Uralu, gdzie jakiś czas przebywał, dostał się przez Aktubińsk do Karagandy i rozpoczął ożywioną działalność na całym rozległym terenie. Z nieustraszoną gorliwością spieszył na każde wezwanie. Pociągiem, samolotem, przygodną ciężarówką, a gdzie trzeba – i pieszo docierał do najbardziej zapadłych wiosek, gdzie jeszcze księdza nie widziano. Był prawdziwym „duszochwa-tem”. Jego ujmującej szczerą prostotą gorliwości nie mogli się oprzeć i bezbożnicy. Nawet w publicznych miejscach, jadąc autobusem czy pociągiem, zdolny był wszczynać dyskusje świadczące o szczególnym darze wpływania na ludzi. Szczególną miłością otaczał dzieci, które się do niego garnęły. W wielu mieszkaniach, zwłaszcza niemieckich, przechowuje się jego podobiznę: smągła, pociągła twarz i czarne oczy, które zdają się przenikać do wnętrza duszy. Czuje się, że ten człowiek tak żyje, jak mówi, i promieniuje z siebie najgłębiej pojętą ascezą, którą można by nazwać w najlepszym tego słowa znaczeniu fanatyzmem.

Przybycia o. Aleksandra oczekiwano wszędzie jak święta, ale taki dzień – raczej noc – nie mogły się często zdarzać, gdyż zasięg jego pracy był wielki. Oprócz Karagandy obsługiwał Akmolińsk, Szortandy, Żołtyn, Tainczę, Pietropawłowsk, Aktubińsk oraz szereg innych miejscowości, objeżdżając liczne przyległe wioski. Po latach jeszcze będzie można oglądać ślady jego działalności: tego uczył o. Aleksander, tym dał ślub, tamtych pojednał, a kogo przekonał, ten stawał się często najgorliwszym z gromady. O przykłady nietrudno. Oto matka pięciorga dzieci, młoda wdowa porzucona przez męża, który potem zginął tragicznie. Modli się co dzień razem z dziećmi i większą rodziną i chroni je jak ewangeliczna kokosz od bezbożnych wpływów, a przy tym spełnia rolę Lidii czy innej gorliwej apostołki z Dziejów, bo pomaga w pracy przygodnym kapłanom. Dawniej też była światowa, ale łaska Boża pod wpływem o. Aleksandra dokonała gruntownej przemiany.

W Szort[andy] jest para tercjarzy: Luchesjusz i Bona. Ich dom jest domem modlitwy. Ona, zawsze gorliwa, potrafiła wychować religijnie siostrzeńca – choć cała rodzina bezbożna – ale on – to zdobycz o. Aleksandra – młody człowiek, gotów za wiarę cierpieć. Kiedy dowiedział się, że Ojca zabrali, pojechał do Karagandy, żeby pod murami więzienia zapłakać.

Bo tak się skończyła misja o. Aleksandra. W maju 1961 r. na próżno oczekiwano przybycia jego w Tainczy. Nie było go też w Akmolińsku i Szortandy. Trwożne przeczucia wkrótce się sprawdziły. Zabrano go w Karagandzie na ulicy w miejscu wskazanym przez zdrajcę, który udął chęć spowiadania się. Judasz zawsze się znajdzie. Z początku jak zwykle zaginął ślad, ale potem zaczęły dochodzić dyskretne wiadomości. Został zasądzony na dwa lata więzienia. Podobno przechodził ciężkie próby i stracił zdrowie. Mimo to pisał do wiernych pogodne listy, chcąc podtrzymać ich na duchu. W jednych z ostatnich donosił, że Matka Boska obiecała go rychło wyzwolić. Wyzwolenie przyszło niespodziewanie w terminie nieoczekiwanym. Właśnie kiedy miał nadzieję ujrzeć się na wolności wśród swoich duchowych dzieci, zginął przy operacji w więziennym szpitalu. Jego mogiłka z prostym krzyżem na odosobnionym cmentarzu nie może stać się przedmiotem kultu. Jest niedostępna i samotna jak

ten, który pod nią spoczął 1. Czasem tylko ktoś wiedziony nadmierną tęsknotą zada sobie trud przebyć kilkadziesiąt kilometrów, żeby odwiedzić grób Ojca, po którego śladach wkrótce poszli inni.

W parę tygodni po zniknięciu o. Aleksandra na stacji Taincza wysiadł podróżny w białym, trochę zmiętym kitlu, z niezasobną walizką w rękę. Zapytał kogoś o ulicę Zapadną. Dzień był pogodny, ale poprzednio padały deszcze. Po przebyciu toru znalazł się na ulicy błotnistej, nie do przebycia. W takiej porze tubylcy noszą gumowe buty i patrzą z politowaniem na przybyszów skaczących nieporadnie po kałużach błota. Trzeba było przejść parę przecznic, zanim na jakimś narożnym domu ukazała się pożądana nazwa: Zapadną. Teraz chodziło o znalezienie domu, w którym mieszkała siostra księdza [J. Kuczyńskiego], Spotkanie trudno opisać, choć się dotychczas nie znali. Jak ongiś w Emaus, mieli się poznać przy łamaniu Chleba. Trwały przygotowania, kiedy weszła jakaś kobieta z prośbą, żeby iść do umierającego ojca. Skąd się dowiedziała? „Już ja się domyśliłam.” To była pierwsza funkcja kapłańska. A potem? Radość, ruch, nowe życie. Boże, Ty nas nie zapominasz. Bronisława zamieszkiwała jeszcze dom obok kaplicy, ale nie było tam bezpiecznie, bo ją prześladowali za brata, który w mordowskiej okolicy odsiadywał karę. Podlega obozowym szykanom – odmawiają mu pożywniejszych produktów. Stale choruje.

Gościny dla pożądanego przybysza udziela „gruby” Antoni. Niedawno stracił syna, który zabił się, prowadząc skonstruowaną przez siebie „maszynę”. Ojciec opowiadając o tym ma łzy w oczach. Pozostała synowa z dwojgiem dzieci. Stary się ożenił, ale pierwszej żony nie zapomina. Prosi, żeby się odprawiła Msza św. za żonę i syna. Wczesnym rankiem zaczęli się schodzić ludzie. Zapelnili obszerną izbę, która służy zarazem za sypialnię i świetlicę. Są staruszkowie, ale też mężczyźni w sile wieku, którzy spieszą do pracy. Jest też kilkoro młodzieży szkolnej. Szkoła mieści się niedaleko przy tej samej ulicy. Gdyby się dowiedzieli... Ale okiennice są zamknięte, a do rannego ruchu wszystko się skończy. W drugim mniejszym pokoju Częstochowska, zapewne jeszcze przywieziona z domu, spogląda z małego ołtarzyka na lud, który u stóp kapłana siedzącego w krześle ociosuje się z grzechów. Lecą drzazgi mniejsze i większe: przeklinał, pił, kłóciła się – Boże, zmiłuj się. Wszyscy muszą się oczyścić, żeby wziąć udział w Świętej Ofierze. Taka jest reguła. Jak w wieczerniku i w katakumbach – nie ma wyjątków. Tylko czarnowłosy Staś i biała Hela są jeszcze mali – ale chcieliby też.

Na ołtarzu pod korporałem relikwie św. Męczenników, przywiezione z daleka. Kielich? Ach, jakie to precyzyjne dzieło! Składa się z trzech części tak zmontowanych, że nikt się nie domyśli przeznaczenia. Nieraz już mieli to w rękach i oglądali jak zwykle naczynie toaletowe. Cała zakrystia mieści się w niewielkiej walizce. Ale u Antoniego w szopie są też komże, których używa się do pogrzebów. W kącie stoją dwa biało-czarne sztandary. Teraz jednak komżę przyodziewa ministrant. Jest mały, czarny, wąsaty. Ma przy tym bardzo pocziwe oczy niewinnego dziecka, choć przekroczył pięćdziesiątkę i jest drugi raz żonaty. Msza święta jest śpiewana – jakże by inaczej. W Ewangelii znajdzie się jakieś odpowiednie słowo, boć to wszystko dla nas napisane: choćby o tych gołębicach i węzach. Tak, trzeba być roztropnym. Za oknem już szarzeje. Światło znika, otwierają się okiennice. Ludzie rozchodzą się pojedynczo, powoli. Antoni stoi przy bramie, żeby zatrzymać ewentualnych ciekawych są-

siadów. Za chwilę wszystko wraca do normalnego życia. Stasia spieszy do elewatora, Antoni do pracy przy warsztacie. Dzieci do szkoły.

Po południu odprawia się nabożeństwo majowe u Marysi, ale tam mogą być różni ludzie – niebezpiecznie. Za to późnym wieczorem u Emmy ślub. Jest to dość daleko, na Sohocinie. Potrzeba iść nocą, ale w mieszkaniu duże zgromadzenie. Panna młoda w bieli i z nieodzownym wianuszkim – szkoda, że sztucznym. Rozlega się Veni Creator, aż drżą ściany. Teraz się nie

boją. Jest organista i paru mężczyzn z donośnymi głosami. Śpiewają po łacinie i po niemiecku. Mały Jakom – jest podobno magazynierem na bazie – odpowiada sprawnie na wezwania. Nabożeństwo przekracza północ. Na koniec modlą się z rozkrzyżowanymi ramionami, jak ich nauczył proboszcz. Tego się nie zapomni – ani ich rozmodlonych twarzy. Ktoś mówi, że czeka ślepy Klemens. Ujmują księdza pod ręce i prowadzą w mroku. W izbie znowu zgromadzenie, choć mniejsze. Niewidomy klęczy, jak Bartymeusz, ale nie woła o wzrok. Wystarczy mu, że Jezus przychodzi. Co za radość.

Bezpośrednim jednak celem przyjazdu była Ewelina w Krasnej Polanie. Córka zawiadomiła, że staruszka jest chora, ale zaznaczyła niedwuznacznie, że trudno się tam dostać, bo ludzie się boją schodzić na nabożeństwa, cóż dopiero sprowadzić księdza. Ale Ewelina jest godna trudu. Przeżyła w Kazachstanie najcięższe lata zsyłki, potem wróciła na Ukrainę i była wzorem pobożności dla rodziny i sąsiedztwa. Czasem gościł u nich ksiądz, z czego bardzo się cieszyła, ale nie mogła znieść myśli, że tam daleko ludzie nie mają przewodnika, choćby takiego, jakim może być oddana Bogu niewiasta. Powróciła do Krasnej Polany i zaraz od początku jej dom, a raczej jej głuchoniemego syna, stał się punktem zbornym wiernych. Nie bała się żadnych pogroźek. Łatwo wyobrazić sobie jej radość, kiedy ujrzała niespodziewanie znajomego. Starcza twarz o szlachetnych rysach rozblęta w półmroku izby uśmiechem. Siedziała nad nie domkniętą grubą księgą, którą sama oprawiła niefachowo w płótno. Tych ksiąg większych i mniejszych miała pełny kuferek. Czego tam nie było? I żywoty świętych, i modlitewniki, i stare roczniki „Rycerza”, ale najważniejsze chyba te własnoręcznie pisane kajety, według których prowadziła nabożeństwa. Co jednak najbardziej zdumiewające, że w swoje duchowe sekrety wtajemniczała maleńką wnuczkę. Mila umiała już czytać i pisać, choć była jeszcze w wieku przedszkolnym. Nastąpiła uroczystość jej Pierwszej Komunii św. Choć była sama, jak księżniczka, wszyscy brali udział w podniosłym święcie dziecka, które walcząc ze snem przeżywało swoją najpiękniejszą noc. Ta noc minęła zbyt szybko. Czy kiedy się powtórzy? Na przeoranych bruzdami twarzach pojawiają się łzy, kiedy odzywa się motor ciężarówki i gość wsiada do kabiny.

Mimo wszystko Marysia zaprosiła do siebie. Mała, krępa, bosa, o twarzy nalanej, trochę pospolitej, uderza swoją ekscentrycznością. Ma na sobie coś w rodzaju habitu przepasanego sznurkiem. Jej chatka, równie niska, oblepiona gliną, wciśnięta w nieogrodzone podwórko, najuboższa z ubogich, tworzy z właścicielką nierozzerwalną całość. Obie są przedmiotem drwin. Przygodne łobuzy wybijają małe szybki, które wciąż z trudem łąta. Kiedy jednak przejdzie się ciemną sionkę, naraz uderza przyjemny widok. W głębi czystej izdebki biało przykryty ołtarz z tabernakulum osłoniętym haftowanym konopeum. Lichtarze, kwiaty, niczego nie brak. Nawet lampka się pali, choć tabernakulum puste. O. Aleksander zostawiał podobno N [ajświętszy] S[akrament], ale teraz nie ma. Ludzi nie ma wiele, bo Marysia robi swoistą selekcję. Nie dopuszcza kobiet dostatniej ubranych. Szczególnie nienawidzi aksamitne „połdochy”. Takie bez pardonu wyprasza i na temat ubóstwa wygłasza formalne kazania. Tego rodzaju postawa zmusza do zachowania rezerwy, co z kolei prowadzi do zjadliwego krytykowania nawet księży, jeśli nie chcą uznać jej kaprysów. Mimo to gromadzą się tam ludzie z posiołka na niedzielne nabożeństwa, które przeciągają się często grubo poza południe. Trudno tu wytłumaczyć, że „słowa skrócone uczynił Pan na ziemi”. Samo kazanie zajmuje sporo czasu, zwłaszcza kiedy dołącza się zmiana różańcowa.

Po drugiej stronie, w Suchocinie centrum mieści się u Anny. Jest to poważna, bogobojna wdowa, której średniozamożny dom z okazałą werandą nie różni się zasadniczo od innych znajdujących się przy tej ulicy. Tylko, że jest w nim odosobniona izba z ołtarzykiem, w którym stale przechowuje się Najświętszy Sakrament. Nawet przy dłuższym braku kapłana

Najświętszą] Hostię przywozi się w specjalnej bursie ukrytej na piersiach z Karagandy. Co dzień rano schodzi się kilka kobiet na adorację, a jeśli są usposobione, przyjmują Komunię św. Nigdzie lepiej, jak tu i w podobnych warunkach gdzie indziej, nie rozumie się prawdy, że Sakramenty są dla ludzi. Szczególnie troskliwie odprawia się Godzinę Świętą w pierwszy czwartek i nabożeństwo w Pierwszy Piątek miesiąca. Przybysz nie może jednak od razu zapoznać się z wszystkimi objawami kultu w tej pierwszej spotkanej gminie. Musi i innym przepowiadać Królestwo Boże.

Dalszym etapem jest Malinka. Wczesnym rankiem, zanim niebo zaczęło różowieć, zajęchali z niedostępnym panem Antonim na prawie pustą w tym czasie stację. Na ulicy nie było nikogo, kiedy zapukali do zamkniętych okiennic pod wskazanym adresem. Odezwał się jakiś gniewny pomruk i wyjrzał zdziwiony gospodarz – Kazach. Okazało się, że adres był mylny, ale z naprzeciwka wyszła ciekawa kobieta. Dom był katolicki, niemiecki, w izbie pełno obrazów. I zaraz na wstępie okazał się palec Boży. Niedaleko mieszkał mężczyzna chory na raka, który się bardzo męczył. Przy tym biedaku o niemiłosiernie zeszczonej twarzy odprawiała się Msza św. Wkrótce potem umarł. Już nietrudno było znaleźć właściwy adres sióstr. Przybyły z dalekiej Łotwy, aby służyć braciom rodakom, którzy tu się znaleźli w sporej gromadce. „Sławit Jezus Christus” – powiedział łamanym językiem przybysz, który się trochę obracał w okolicy Daugawpils i Rygi. Sióstr było cztery. Trzy z nich zajęte w szpitalu – jedna na gospodarstwie. Wnętrze przytulne i czyste, aż miło. Wieczorem schodzą się goście. Niemcy i Łotysze, którzy mówią z trudem po rosyjsku. Są też chrzty, a potem jacyś chorzy, ale ktoś donosi, że grozi rewizja. Trzeba przeczekać w innym domu, a rano chyłkiem na stację.

Do Akmolińska pociąg wtacza się powoli, stając na wszystkich stacyjkach. Do wagonu gramolą się majestatycznie brodaci Kazachowie w obszernych bekieszach przepasanych długimi ręcznikami. Na głowach mają obszerne małachaje lub wzorzyste tiubietiejki. Niektórzy gładzą rozwartymi dłońmi oba policzki. Jest to ruch modlitewny, którego wcale się nie wstydzą. Kobiety mają obfite spódnice z zielonego aksamitu. Często noszą na przedramieniu bransolety. Czarne kosookie dzieci opychają się słodyczami. Miasto zapowiada się z daleka lasem kominów fabrycznych i dźwigów, ale stacja jest jeszcze prowizoryczna i ciasna. Nowa buduje się tuż obok. W ogóle Celinograd – teraz już tak nazywany – znajduje się w sławie [?]. Wszędzie widać gigantyczne dźwigi chwytające pazurami olbrzymie płyty. Trzeba z trudem szukać wolnego przejścia. Autobus objezdża centrum bocznymi ulicami i wreszcie staje około bazaru.

Teraz musisz zdać się na instynkt, bo mało kto wie, gdzie znajduje się ul. Engelsa. Ponieważ jednak z reguły Lenin, Marks i Engels są nie- rozdzielną trójcą, można po dłuższym krążeniu wreszcie się zorientować. Wiktorja, której dom mieści się przy końcu ulicy, jest zaskoczona. Po wyjeździe księdza była u niej rewizja, dlatego Allerheiligste przechowywała w szafie. Teraz znajduje się na skromnej półeczce w celuloidowym pudełku ozdobionym sarnami. Na Mszę św. przyszło parę Niemek, bo dzień był powszedni. Nawet Piotr poszedł do roboty, a Marusia do szkoły. Zresztą o większym zgromadzeniu nie było mowy, gdyż dom jest pod inwigilacją.

Co innego u Emmy. Są to dwa domy przedzielone wąskim podwórkiem i stajnią – serajem, do których można się dostać od ulicy lub przez ogród, co jest niezwykle korzystną okolicznością. Jeden większy dom zamieszkuje Katia z babką i sześciorgiem dzieci, w drugim należącym do Emmy znajduje się kaplica. Jest to dość obszerna, kwadratowa izba, której dwa okna wychodzące na szkołę są prawie zawsze zasłonięte. Przy prawej ścianie znajduje się obstawiony mnóstwem obrazów ołtarzyk ze skromnym tabernakulum pośrodku. Jest to właściwie zwykła paczka przykryta jedwabną zasłoną. Malutki płomyczek naftowej lampki

świadczy o obecności Eucharystii. To była ulubiona przystań o. Aleksandra, kiedy przejeżdżał po ucieczce Włodzimierza.

Cała rodzina jest nadzwyczaj bogobojna. Sama Emma, cicha, ale o płonących oczach, mężna niewiasta, trzyma właściwie wszystko w rękach. Jej rygorystycznym zasadom poddaje się mąż Antoni i córka z rodziną. Z tą Katią nie było z początku wcale łatwo. Pod wpływem męża hulaki zaczęła lgnąć do świata i kto wie, czy by nie zubożyła religijnie, gdyby nie łzy i modlitwy matki. Do tego dołączył się niespodzianie krzyż. Mąż porzucił ją z sześcioro dziećmi i związał się z drugą. Po krótkim czasie uległ katastrofie – pijany wpadł do rzeki z samochodem i utonął. „Tamta” przysłała zwłoki do pochowania.

Katia żyje odtąd dla Boga i dzieci, o których wiarę walczy jak lwica, choć z natury jest słaba. Najmłodsza Irenka w szóstym roku przystąpiła do Pierwszej Komunii, a reszta z gromadki pilnuje Sakramentów św. przy każdej sposobności. Wzruszająca jest wspólna modlitwa rano i wieczór, na którą gromadzi się i dalsza rodzina z głuchą babką i domownicą, dawną zakrystianką na czele. Co dzień musi być różaniec oraz inne zmieniające się stosownie do dnia modlitwy, co razem zajmuje około godziny. Prócz tego jest dla dzieci obowiązkowe czytanie Biblii lub katechizmu. Co dzień u Emmy gromadzi się parę osób na adorację, a w niedzielę jest pełna chata. Choćby nie było kapłana. Nabożeństwo odprawia się według mszału z czytaniem po niemiecku D:kcją i Ewangelią.

Kiedy przybywa kapłan, dom zamienia się w kościół, choć zaraz naprzeciw znajduje się szkoła. Trochę pomyślną okolicznością jest, że można zająć niepostrzeżenie od ogrodu, a wejścia do mieszkania strzeże poczciwy kłapouchy Rex. Polacy nie mają równie pomyślnych warunków. Zresztą gromadzą się w każdą niedzielę gdzie indziej, chyba, że odbywa się zmiana tajemnic różańcowych, to już zawsze u Emilii. Tu już zupełnie inna atmosfera. Syn i synowa właściwie niewierzący, choć nie wrogo nastawieni, ale nigdy ich nie ma. Ołtarz instaluje się naprędce w pokoju, aby potem usunąć wszystko bez śladu. Tak jest we wszystkich tych domach, gdzie tylko na parę godzin używa się mieszkania Bogu, a obraz religijny zachowuje tylko babka w swoim kąciuku.

Podsumowanie. Przebywając szereg lat w Kazachstanie, mogłem przypatrzeć się obrazowi stosunków religijnych, panujących wśród katolików – Polaków i Niemców, którzy rzuceni losem zamieszkują ten obszerny kraj. Na tle ogólnie przyjętych w Związku Radzieckim norm obraz ten przedstawia się zgoła wyjątkowo. Jeśli chodzi o prawne nastawienie do spraw kultu, miarodajną może być wypowiedź prezesa Rady Religijnej (Sowieta Religij), Włodzimierza Kurojedowa, umieszczona w „Izwiestiach” (30 VIII 1965 r.). Stwierdziwszy ogólną, leninowską zasadę oddzielenia Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od religii, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego. Opierając się na powyższym oświadczeniu, niektóre z liczniejszych środowisk katolickich zwróciły się o prawne zatwierdzenie do władz miejscowych, spotkały się jednak z brutalną odmową. Kiedy udano się w tejże samej sprawie do Rady Religijnej w Moskwie, oświadczone lakonicznie: „my o was nic nie wiemy”. Zażądano podpisów, obiecano interwencję, ale rezultatów dotychczas nie ma. Wprawdzie istnieją katolickie domy modlitwy dla Niemców, ale wierni schodzą się sami, ponieważ księża nie mają do nich przystępu. Polacy nie mają na całym olbrzymim terenie Zachodniej i Średniej Azji w Związku Radzieckim ani jednej kaplicy, ani jednego legalnie pracującego kapłana. Prawnie właściwie nie istnieją. A jaki jest stan faktyczny?

Trudno się pokusić o jakąkolwiek statystykę. Jeśli chodzi o narodowość, ilość Polaków w Kazachstanie podaje się na 0,06%; Niemców jest chyba więcej. Przy ogólnej liczbie mieszkańców 13 mln ilość byłaby dość znaczna. Cyfra ta jednak nic nie mówi w odniesieniu do wierzących katolików. Więcej światła daje rzut oka w przeszłość tych ludzi, którzy niespodzianie znaleźli się na celinnych stepach. Z Ukrainy w czasach porewolucyjnych i potem za rządów Stalina przesiedlono całe wioski, a choć-by większość przewiezioną ludność wyginęła w pierwszych latach nędzy, głodu i niedostatku, to jednak pozostała resztką zaludnia dziś liczne posiadki i szybko rosnące miasta. Trzeba tu zwrócić uwagę na fakt, że przesiedlony został najczęściej element najgorliwszy w wierze, niejednokrotnie właśnie za wiarę cierpiący. Siła reakcji, wsparta niewątpliwie łaską, sprawiła, że przetrwali z górą dwadzieścia lat bez kapłana i posługi duchowej. Sami chrzcili dzieci, dysponowali chorych na śmierć. W każdej gromadzie znalazła się jakaś dusza charyzmatyczna, oddana bez reszty sprawie Bożej, gotowa na wszelkie prześladowanie.

W trochę lepszym położeniu byli Niemcy, którym zlikwidowano diecezję saratowską, ale kilku duszpasterzy znalazło się wraz z wiernymi na wygnaniu. Ostatnim z nich był zmarły przed kilku laty w Karagandzie ks. Staub. Oczywiście nie było mowy o normalnej pracy kapłańskiej, ponieważ nie dawano na to pozwolenia. Czynności święte odprawiano skrycie.

Lecz oto po latach ciężkiej próby zdawało się, że nadeszło wyzwolenie. Prawie równocześnie w różnych miejscowościach Zachodniego Kazachstanu pojawili się kapłani, którzy odbywszy karę na Sybirze woleli poświęcić się pracy wśród braci-wygnañców, niż powrócić do wygodniejszego życia. Korzystając z milczącego zezwolenia władz miejscowych, urządzono prowizoryczne kaplice w Tainczy, Akmolińsku, Karagandzie. Zapal religijny ogarnął cały kraj. Każdy z księży musiał się mnożyć w apostolskim trudzie. Pokazało się, że ateistyczna propaganda niewiele w ciągu lat zdziałała. Na nabożeństwa szli tłumnie nie tylko starzy, ale i młodzież, i dzieci. Partyjni i niewierzący legalizowali śluby małżeńskie. To było przyczyną katastrofy. Księża ponownie aresztowano, kaplice zostały zamknięte i zabrane, a wierny Lud Boży pograżył się na nowo w tym większym smutku, im większą radość przeżywał w ciągu niespełna dwóch lat względnej swobody.